

Witt Kmietowicz

## MUSZYŃSKIE KAPLICZKI

Po opublikowaniu w *Almanachu Sądeckim* nr 2 z 1991 roku krótkiego artykułu pt. „Muszyńskie kapliczki”, moje zainteresowanie tematem nie skończyło się. W dalszym ciągu śledzę dokumenty, rozmawiam z wieloma ludźmi, szukam niepozornych nawet fragmentów opisu czy jakiegokolwiek informacji o kapliczkach i figurach przydrożnych na terenie Muszyny i okolicy. Okazuje się, że moje, skromne kiedyś, domowe archiwum bogaci się z czasem o coraz to nowsze szczegóły, z których niekiedy dość wyraźnie wylania się historia kapliczki, jej budowniczych, fundatorów i intencji. Czasem jednak rzecz komplikuje się i zamiast ubywać... pytań przybywa. Chciałbym pewne spostrzeżenia, wnioski i przemyślenia przedstawić ponownie, tym razem na łamach *Almanachu Muszyny*. Nie są to jednak ściśle historyczne, czy też techniczne opisy bądź analizy, ani sprawozdania z prac konserwatorskich czy remontowych. To tylko zebrane wiadomości o muszyńskich kapliczkach, pielęgnowane niejednokrotnie w niektórych tutejszych rodzinach w formie opowieści, przekazywanych z matki na córkę, z ojca na syna. To informacje obrosłe legendą, być może już zdeformowane poprzez upływ czasu, ale nadal interesujące i piękne, wyrosłe z naszej „małej ojczyzny”

— Ziemi Muszyńskiej.

Temat ten jest tak szeroki, że tekst, zilustrowany choćby tylko jednym zdjęciem czy rysunkiem, zajmie dużo miejsca, nie wyczerpując i tak całości zagadnienia. Stąd też nie o wszystkich muszyńskich kapliczkach znajdziemy tu jakieś informacje, legendy, czy opowieści, a nawet skromne wzmiankowanie. Nie oznacza to jednak, że ową kapliczkę ominięto, zapomniano o niej. O krzyżach napiszę w oddzielnym artykule w kolejnym roczniku *Almanachu Muszyny*, o innych kapliczkach — może następnym razem...

\*\*\*

Przydrożna kapliczka i krzyż przydrożny nierozzerwalnie związały się z polskim krajobrazem, a krajobrazem Sądecczyzny szczególnie. W każdej wiosce, przy każdej drodze, w miastach i miasteczkach sądeckiej ziemi, ba, nawet na halach i wśród leśnych szlaków, stoją owe pamiątki dawnych dni. Jedne chylą się ku upadkowi; obrosłe zielskiem i mchem, zapomniane przez wszystkich dożywają swoich dni. Jakże często zniszczone przez czas, poszarzałe od smutku przechodzących mimo nich ludzi. Oblepione jak pajęczyną zwiedłymi kwiatami w brzydkich szklanych czy plastikowych słoikach. Inne, pieczołowicie odnawiane i restaurowane, dają świadectwo Bożej Chwały, świadectwo spontanicznego „TAK!” powiedzianego Bogu przez człowieka, który był fundatorem czy budowniczym owej kapliczki bądź krzyża. Są one wszystkie bez wątpienia dziełami artystycznymi, a zarazem ciekawymi obiektami architektonicznymi. Jedne kryte prostym dachem ze zwykłych świerkowych gontów, nad którymi wznosi się lub pochyla ze starości łaćniński krzyż. Inne pełne dziwnego jakiegoś uroku, zcebulastą kopułką, z charakterystycznym krzyżem wschodniego obrządku. Spełniały i nadal

spełniają ważną rolę w życiu społeczności, która je stworzyła i uważa za swoje. Tu przecież od wieków splatały się dwie, a raczej kilka kultur, i tu jest tych kapliczek najwięcej. I dziś, choć nie bez ubytków, stanowią pomniki przenikania się naszych kultur, są świadectwem żywej i prawdziwie głębokiej wiary naszych przodków, pełnej ufności w Bożą Wszechmoc, Miłosierdzie i Jego obecność wśród prostego i grzesznego ludu. Właśnie może dlatego dziś jeszcze wciąż emanują swoistym ciepłem, a niekiedy jakby większą dobrotliwą tolerancją dla naszych ziemskich ułomności, niż niejednen wspaniały nowoczesny kościół czy ołtarz.

Te „Boże Chatynki” — jak niejednokrotnie wyrażał się o nich prosty lud — otulone gałęziami drzew, przesycone zapachem ziół i śpiewem ptaków, nieustannie przypominają, że człowiek nie może odejść od Boga. Nie może ignorować Przyrody i Historii, nie może pogrzać tradycji w annałach i rocznikach, zamknąć jej w muzeum czy rezerwacie. Niepozorne kapliczki uczą kochać Boga w człowieku i człowieka w Bogu, koją skołatanę chaosem natrętnej cywilizacji nasze serca, budzą poczucie bliskości Boga, który tu w ich wnętrzach czeka na wyciągnięcie ręki i Sam ją do nas wyciąga. Spróbujmy nauczyć się czytać z nich, niczym z jakiegoś specyficznego przewodnika w naszej ziemskiej wędrówce, mijając je na muszyńskich ścieżkach.

Miejsce, w którym wystawiano kapliczkę lub krzyż, nie było nigdy przypadkowe. W dawnej Polsce, tej jeszcze przedrozbiorowej, człowiek stawiał krzyż czy kapliczkę w miejscu swego spotkania z Bogiem lub na rozstajach dróg. Bywało, że spotykał kapłana podążającego z Eucharystią do chorego. Przyklękał, oddawał cześć Bogu. Modlił się. Może nawet o coś prosił. Kogoś Bogu polecał. Wierzył, że w czasie takiego spotkania Bóg na pewno wysłucha jego modlitwy. I jakże często tak się stawało. Człowiek nie zapominał tego miejsca i wznosił tam swój „pomnik wdzięczności” Bogu.

W okresie rozbiorów i polskich powstań, bitew i potyczek, kapliczki budowano na miejscach pochówku powstańców i bohaterów walk. Pieczołowicie opiekowano się takimi mogiłami, dbano o pobudowane tam kapliczki. Tak bywało i na tej ziemi. Uczmy się z muszyńskich „Bożych Chatynek” tego, co drogie było naszym ojcom, a spotkania u ich stóp choć na chwilę niech odmieniają nasze myśli.

### KAPLICZKI NA MUSZYŃSKIM RYNKU

Trudno byłoby sobie wyobrazić dziś muszyński Rynek bez kapliczek św. Jana Nepomucena i św. Floriana. Są one wszak jego nieodłącznym elementem już od ponad 200 lat.

Rok 1713 był rokiem bardzo mokrym i dżdżystym. Zwłaszcza wiosna była chłodna i deszczowa. W okresie kwitania, a później dojrzewania zbóż, słońce nie świeciło wcale, *...jeno dyszcze lały dnie i noce cale, wskutek czego ... ziarno w kłosach było marne i mizerne niezwykle.* 26 lipca, w dzień po św. Jakubie, Poprad i Muszynka wezbrały tak dalece, że zatopiły Muszynę. Rozszalałe wody Muszynki i Popradu spustoszyły łany i role, *... zrujnowały młyn i folusz i browar pański i gorzelnie...* Zabrały i zatopiły domy muszyńskich mieszczan. Kilku z nich, ratując dobytek, utonęło. Zginęło też bez wieści 7 zagrodników i chałupników. Utopiło się wiele sztuk bydła i trzody.

Po kilku dniach, kiedy wody rzek i potoków opadły, mieszczenie przystąpili do naprawiania szkód, zaczęli odbudowywać swoje posady i domostwa, naprawiali warsztaty i kuźnie. Prawie wszyscy wędrowali na Węgry, a nawet Morawy, po zboże. Trzeba było przecież żyć, naprawiać spustoszenia wyrządzone przez wodę.

Jesienią na — jakbyśmy to dziś nazwali — sesji Rady Miejskiej, wójt Stanisław Łyskowicz zaproponował, aby miasto oddać w opiekę Jana Nepomucena — patrona mostów i orędownika chroniącego od powodzi. Rajcy: Maciej Szwarcowski, Klemens Krzysztofik i Jan Woźniak, którzy najbardziej ucierpieli w czasie powodzi, podjęli tę myśl i ... *własnym kosztem przy pomocy i staraniu innych rzemieślników oraz innych muszyńskich gospodarzy* wybudowali na skraju Rynku kapliczkę.

Święty Jan Nepomucen urodził się w Pomukach koło Pragi około 1350 roku. Po skończeniu studiów teologicznych i uzyskaniu święceń kapłańskich piął się powoli po szczeblach kariery duchownej, zajmując z czasem pierwsze miejsce po metropolicie w archidiecezji praskiej. W tym czasie w Czechach panował Wacław IV Luksemburczyk. Znany był z życia hulaszczego i obsesyjnej wprost niechęci do Rzymu. Szczególny gniew skierował na arcybiskupa, znanego ze swej kapłańskiej gorliwości. Splątał więc pajęczynę intryg, w którą wciągnął Jana z Pomuk. Podstępnie zaprosił go na swój dwór, a potem kazał uwięzić. Więzionego biskupa poddał torturom. Po bestialskich katuszach, na wpół żywego kapłana zrzucano z mostu do Wełtawy. Stało się to 20 marca 1393 roku.

Zatarg między Wacławem Luksemburczykiem a biskupem Janem poszedł między innymi o tajemnicę spowiedzi, ponieważ kapłan nie chciał wyjawić królowi grzechów jego małżonki, królowej Zofii, której był spowiednikiem.

Kult św. Jana Nepomucena szerzył się w Czechach i na Morawach spontanicznie, wykraczając daleko poza ich granice. Oficjalny proces kanonizacyjny rozpoczęto w 1710 roku, po którym papież Innocenty XII potwierdził tytuł błogosławionego, a w roku 1729 papież Benedykt XIII zaliczył Jana uroczyste w poczet świętych. Żywe i częste kontakty muszyńskich mieszczan z Czechami, Węgrami i Morawami przeniosły na grunt klucza muszyńskiego kuli Jana Nepomucena, jeszcze przed oficjalnym wyniesieniem go na ołtarze.

Święty Jan Nepomucen przedstawiany jest w pozycji stojącej, ubrany w tradycyjny strój kanonika praskiego według wzorów XVIII-wiecznych. W prawej ręce trzyma krzyż — atrybut świętych męczenników i symbol wiary, za którą oddał życie, w lewej ręce zaś palmę męczeństwa. Wokół głowy ma aureolę z pięcioma sześcioramiennymi gwiazdkami. Owe gwiazdki na aureoli oznaczają 5 liter łacińskiego wyrazu „tacui”

— co znaczy: „milczałem”.

Prawdopodobnie w roku 1720 (Frank Kmiotowicz podaje w oprac. *Muszynianie* inną datę — 1731 r.), w dzień św. Jana Nepomucena, tj. 16 maja, odbyło się uroczyste poświęcenie kapliczki na muszyńskim Rynku. Poświęcenia dokonał muszyński proboszcz, ks. Stanisław Kaczorski, w towarzystwie kanoników kapituły krakowskiej. Przez lata całe w czasie procesji Bożego Ciała przy tej właśnie kapliczce bywał

umieszczany jeden z ołtarzy. Muszyńscy mieszczanie niestety chyba z małą wiarą i ufnością oddawali cześć św. Janowi, skoro 100 lat później, dokładnie w roku 1813, następna powódź zniszczyła miasto, a nawet oderwała jedno ze skrzydeł istniejącego do dziś kościoła parafialnego.



Kapliczka św. Jana Nepomucena  
na muszyńskim Rynku

Kapliczka św. Jana Nepomucena stoi obecnie obok szkoły i jest objęta opieką przez Towarzystwo Miłośników Ziemi Muszyńskiej. Odnowiona w latach 1989-1990 przypomina stałym mieszkańcom i gościom o klęskach powodzi, jakie nasze miasteczko nawiedzały w ciągu wieków.

Drugą kapliczkę na muszyńskim Rynku mieszczanie poświęcili św. Florianowi. Znajduje się ona w południowo-zachodniej części Rynku i chronologicznie jest młodsza od kapliczki św. Jana. W miastach Sądecczyzny stoi wiele kapliczek poświęconych temu świętemu. Nic w tym dziwnego. W dawnych czasach miasteczka te budowane były całkowicie, lub prawie całkowicie, z drewna, stąd też pożary nękały mieszczan często. Chcąc się uchronić przed klęską pożaru, oddawali oni domostwa w opiekę św. Floriana.

Rok 1763 był rokiem niezwykle suchym. Bezśnieżna, a przy tym niezwykle mroźna zima spowodowała znaczne obniżenie poziomu wód w rzekach i potokach. Po suchej zimie nastąpiła też sucha i upalna wiosna. Podobno tak sucha, że drzewa nie wypuściły liści i nie wydały kwiatów, a zboża i trawy zżółkły i wyschły nie wydając kłosów. Z końcem maja na muszyńskim Rynku wybuchł pożar. Nie wiadomo z jakiej przyczyny. Jedni uważali, że na Zielone Świątki pieczono u kogoś chleb oraz „bałabuchy” (muszyńskie placki drożdżowe) i przez nieuwagę wysypano za stodołę żarzące się węgle wraz z popiołem, od których zajęła się sucha trawa, a potem i stodoła. Inni znów twierdzili uparcie i z przekonaniem, że to zemsta z za grobu ostatniej z czarownic, straconej na Szubienicznym w dniu 14 kwietnia tegoż roku. Nam bardziej prawdopodobna wydaje się pierwsza wersja przyczyn pożaru.

Tak czy inaczej, pastwą płomieni padły prawie wszystkie domy przy Rynku, ulicy Wyśniej i Niżniej, część domów Zaulicą i na ulicy Publicznej, dwór starosty, młyn i folusz. Podanie głosi, że w jednym z ocalałych domów mieszkała wdowa, o nazwisku już nie do ustalenia, wraz z trzema córkami. Jak nakazywała tradycja, w przeddzień Zielonych Świąt umiała brzożami i modrzewiem drzwi i okna swojego domu. Kiedy rano wstała, by pójść na prymarię do kościoła, stanęła wstrząśnięta widokiem. Cały Rynek, ba, cała Muszyna stała w ogniu! Gwar i krzyki, lamenty i płacze, borżekania i nawoływania teraz do niej dopiero dotarły. Wybiegła z domu, by

po chwili powrócić, budzić córki i ratować, co się da. Jednak zamiast uciekać przed ogniem i żarem, podobno rzuciła się na kolana i razem z córkami żarliwie modliła się do Ducha Świętego i do św. Floriana. Nie wiadomo, czy modlitwa, czy może inne okoliczności sprawiły, że jej dom ocalał i nie spłonął. Wdowa ponoć uparcie twierdziła potem, że miała w domu obraz św. Floriana, a wieczorem poprzedniego dnia właśnie jego życiorys czytała jedna z córek z „Żywotów Świętych”.

Po tym pożarze Rada Miejska, zachęcona wezwaniem starosty Idziego Fihausera, który okazał się potem ostatnim przed rozbiorami starostą na Muszynie, wzorując się na swych poprzednikach sprzed 50 lat, postanowiła wybudować kapliczkę poświęconą św. Florianowi. Tym samym polecono opiece tego świętego nie tylko muszyński Rynek, ale i całe miasto.



Kapliczka św. Floriana na Rynku w Muszynie  
(fot. Stanisław Żygadło)

W nowo wybudowanej kapliczce nieopodal ratusza ustawiono figurę świętego, którą sprowadzono ze Słowacji (czyżby z okolic Preszowa? — tam bowiem istniał w owych czasach dość znaczący warsztat rzeźbiarski). Figura wykonana była z drewna lipowego. Przedstawiała rzymskiego legionistę naturalnej wielkości. Malowana jaskrawymi farbami prezentowała się okazale. Święty Florian stał w rzymskiej zbroi i hełmie na głowie, w lewej ręce trzymał rozwiniętą chorągiew, a w prawej drewniany skopiec, z którego wylewała się woda na płonący kościółek znajdujący się u jego stóp. Figura ta była dość osobliwa i wykonana tak sugestywnie, że budziła lęk, gdy się na nią spojrzano zniechęca, zwłaszcza o zmroku. Robiła wrażenie żywego człowieka, gotowego do ataku. Szczególnie oczy sprawiały przykre wrażenie, nienaturalnie duże i wylupiaсте, patrzyły złowieszczo. Groźnego spojrzenia nie łagodziła pociągła twarz z sumiastym wąsem. Figura ta straszyla przez lata nie tylko dzieci, ale i muszyńskich mieszczan, letników i wczasowiczów przechodzących mimo kapliczki.

Kiedy Muszyna stawała się uzdrowiskiem, w latach dwudziestych obecnie kończącego się wieku, za czasów

burmistrza Antoniego Jurczaka, wybrukowano bazaltową kostką Rynek i wytyczono dwa skwery obok starych już wówczas kapliczek. Wtedy to też rajcowie miejscy uznali, że „strasznego” św. Floriana trzeba przenieść do innej kapliczki, a w miejsce starej figury postawić nową, bardziej „przystojną”. Tak się też stało. Stary św. Florian z muszyńskiego Rynku trafił do pustej kapliczki na Folwarku (o dziejach tej kapliczki na Folwarku pisze bardzo ciekawie pan Edward Drozd w *Almanachu Muszyny* z 1996 r. w artykule pt. „Święty Florian z Folwarku”).

Kult św. Floriana wzmógł się w Polsce po roku 1528, kiedy to pożar strawił znaczną część Krakowa, a ocalał jedynie kościół św. Floriana na Kleparzu, w którym znajdowały się relikwie świętego, sprowadzone do Polski przez księcia Kazimierza Sprawiedliwego. Odtąd zaczęto go czcić jako opiekuna chroniącego przed ogniem, a kiedy zaczęły powstawać ochotnicze straże pożarne, przyjmowały go chętnie za patrona.

Ikonografia przedstawia tego świętego jako rzymskiego oficera gaszącego płonące domy lub kościoły. Najokazalszy pomnik postawiono mu w Limanowej i stanowi on do dziś prawdziwą ozdobę tamtejszego rynku. O żywym kulcie św. Floriana świadczy też polska toponomastyka: 42 miejscowości w Polsce zapożyczyły sobie od świętego nazwę (choćby w Sądeckiem — Florynka). Z dniem św. Floriana związane jest też przysłowie ludowe: „Kiedy poleje na św. Floriana — przez cały maj pogoda zapłakana” (4 maja).

Muszyńską kapliczką św. Floriana opiekuje się od ponad 100 lat miejscowa Ochotnicza Straż Pożarna. W roku 1997 w okresie Bożego Narodzenia w kapliczce tej urządzono szopkę, co okazało się pomysłem godnym uwagi i kontynuowania.

## KAPLICZKA I FIGURA PRZY KOŚCIELNYM MURZE

W bezpośrednim sąsiedztwie kościoła znajdują się dwa ciekawe i charakterystyczne dla Muszyny obiekty. Jeden z nich znajduje się na zewnątrz muru. Jakby trochę schowana za wiekową lipą, na wysokim fundamencie, zastygła figura św. Jana Nepomucena. Jej historia jest o tyle ciekawa, co i tajemnicza.

Figura stoi na wysokim kamiennym postumencie, który górą jest ogzymosowany, a nad figurą znajduje się blaszany daszek. Nie znamy pochodzenia całości. Jednak dzięki pracom konserwatorskim, przeprowadzonym w 1991 roku, wiemy z całą pewnością, że kamienny postument pochodzi z 1752 roku! Według inskrypcji fundacyjnej z frontowej płaszczyzny postumentu, figura św. Jana została umieszczona na nim podczas odnawiania całości w 1876 roku, przez Zofię i Franciszka Jędrzejowskich. Inskrypcja ta głosi: *Fóndatorowie Franciszek i Zofja Jędrzejowscy r. 1876* (pisownia oryginalna).

Przednia, frontowa ściana ma inskrypcję fundacyjną w języku łacińskim, która w tłumaczeniu na polski brzmi: *ROKU 1752 TO DZIEŁO WZNIESIONE KU CHWALE BOGA I ŚWIĘTEGO PATRONA*. Tak więc z tekstu inskrypcji wynika, iż na postumencie wcześniej mógł stać inny święty! Nie musiał to być św. Jan Nepomucen, tym bardziej, że niedaleko stąd, w Rynku, miał on już swoją kapliczkę.

Wydaje się również, że i sam postument, na którym Zofia i Franciszek Jędrzejowscy kazali ustawić św. Jana na skarpie przy murze kościelnym, mógł, lub wręcz musiał,

znajdować się w innym punkcie miasta! Otóż wielka powódź z roku 1813, która podmyła jedno skrzydło kościoła (północną zakrystię) oraz zabrała dwa domy i wikarówkę w bezpośrednim sąsiedztwie kościoła, musiałyby z pewnością zniszczyć także kapliczkę. Tak więc prawdopodobne jest, że kapliczka została w obecnym miejscu postawiona dopiero po tej strasznej powodzi, chyba — tak jak głosi inskrypcja

— w 1876 r. Tym bardziej, że mur wokół kościoła od strony północnej jest znacznie młodszy od muru ze strony południowej. Świadczy o tym choćby brak wnęk na stacje drogi krzyżowej w murze od strony północnej; również zaprawa łącząca kamienie jest starsza od strony południowej, gdyż jest to tylko zaprawa wapienna, a miejscami nawet gliniana, po przeciwnej stronie muru zastosowano tymczasem zaprawę cementowo-wapienną.



Tajemnicza figura św. Jana Nepomucena w cieniu słarych lip przy murze kościoła pw. św. Józefa (fot. Ryszard Górski)

dziś stoi św. Jan koło kościelnego muru, w roku 1752, wymienionym w inskrypcji łacińskiej, stał przy dawnym kościele św. Józefa Patriarchy. Na nim mogła stać wówczas drewniana figura św. Józefa.

Dlaczego tak można przypuszczać?

Jeszcze jeden fakt przemawia za tym, że kapliczkę tę postawiono tu po powodzi roku 1813. W przekazie, niestety już tylko ustnym, zachowało się opowiadanie, jak to w czasie wielkiej powodzi, kiedy runęła podmyta przez wody Muszynki część kościoła, dwie z trzech wiekowych lip podmyte przez wodę uratowały miasto przed totalną klęską, kierując nurt Muszynki w bok, pod brzegi. Nie ma w tym podaniu mowy o kapliczce, która, przy dzisiejszej lokalizacji, też by została podmyta. Można przypuszczać, że zniszczenie przez powódź kapliczki zrobiłoby na mieszczanach duże wrażenie, być może większe, niż powalenie lip, i w przekazie znalazłaby się o tym choćby mała wzmianka.

Niestety nie dysponujemy żadnymi źródłami archiwalnymi, bo jeżeli nawet jakieś istnieją, to są one w tej chwili niedostępne. Możemy jedynie snuć pewne przypuszczenia. Być może postument, na którym

Ks. Władysław Szczebak w pracy „Zapomniane Sanktuaria w Diecezji Tarnowskiej” pisze, że: *Według dokumentu wizytacyjnego z 1728 r. istniały w Muszynie trzy kościoły. Stał bardzo stary kościół parafialny pw. św. Marii Magdaleny (...) w którym tylko od czasu do czasu odprawiały się nabożeństwa. Ponadto, pewnie już na ukończeniu był nowy, murowany, obecny kościół parafialny. Trzecim był interesujący nas kościół iw. Józefa Oblubieńca Najświętszej Marii Panny, drewniany, sytuowany „Ante Curiam Muszynensem”.* Być może koło tego kościoła stała kapliczka patrona na wzmiankowanym wcześniej postumencie. Przemawiałby też za tym tekst inskrypcji: *Ku chwale Boga i Świętego Patrona...* Skoro św. Józef był od wieków patronem Muszyny!

Szczególny kult św. Józefa w parafii muszyńskiej był znany od dawien dawna. Świadczy o tym istnienie tu jeszcze przed rokiem 1690 Bractwa św. Józefa, które w tymże roku, 1 kwietnia, uzyskało w Rzymie specjalne odpusty. Bractwo to wielokrotnie wzmiankowane jest w dokumentach starej Muszyny. Tak oto w *Księdze aktów miasteczka Muszyny od 1786 roku* dowiadujemy się z testamentu Józefa Skwarczowskiego Starszego, który sporządzony został 29 października 1788 roku, iż: *Bractwu św. Józefa na odbudowanie i reparację kapliczki świętego Patrona z gospodarstwa tynfów górskich 31...* O jakiej kapliczce wspomina Józef Skwarczowski? Czyż nie można przypuszczać, że kapliczka mająca 36 lat była już zniszczona i wymagała odbudowy i remontu? Widać opiekowało się nią Bractwo św. Józefa, gdyż trudno sobie wyobrazić innego patrona tegoż Bractwa. Gdzie zatem znajdowała się ta kapliczka?

Być może była ona usytuowana przy drewnianym kościele pw. św. Józefa, który spłonął w czasie wielkiego pożaru miasta w 1763 r. Być może wtedy właśnie uległa zniszczeniu figura św. Józefa stojąca na postumencie z 1752 r. Za taką lokalizacją przemawiałby fakt umiejscowienia innej muszyńskiej kapliczki — św. Marii Magdaleny — w bezpośrednim sąsiedztwie kościoła pod jej wezwaniem.

Z cytowanej już *Księgi aktów* możemy dowiedzieć się o granicach ćwierci Roli Steczowskiej, którą Marcin Nowak kupuje od Łabowskich za 63 tynfy. Tak więc pisarz miejski Mateusz Jędrzejowski, określając granice tejże, pisze: *... który to grunt biegnie na Ćwierciach poczyna ku rzeki Popradu ciągnie się między drogami bliskości kapliczki św. Marii Magdaleny przy bywszym tu kościele starodawnym...* Można by przypuszczać zatem, iż był w Muszynie zwyczaj ustawiania przy kościele kapliczki tego samego świętego patrona.

Dlaczego jednak figura św. Jana Nepomucena znalazła się akurat na tym opuszczonym postumencie — nie wiadomo. Jakby nie patrzeć, historia tej kapliczki jest nieco tajemnicza. Związana jest z nią też pewna zapomniana legenda, którą warto przypomnieć choćby w skrócie.

Kiedy w latach czterdziestych ubiegłego wieku panował głód i morowe powietrze, na miasteczko padł strach. Jak wspominają kroniki, tylko w roku 1847 zmarło z głodu i na tyfus w Muszynie 318 osób wyznania rzymskokatolickiego. Ilu zmarło muszynian innych wyznań, o tym niestety kroniki milczą. Często w tamte straszne dni w miasteczku widywano wóz ciągnięty przez wychudłą szkapinę. Na wozie tym siedziało dwóch, może trzech, lichy odzianych i wiecznie pijanych mężczyzn.

Podjeżdżali wozem pod dom, gdzie leżał nieboszczyk. Zaczepiali nieszczęsne zwłoki osękiem i ciągnęli za miasto. Pod Małnik, albo i na Średnią Górę, gdzie były wielkie doły. Tu zwłoki



przyrzucano niewielką warstwą ziemi. Po miasteczku zaczęły rozchodzić się straszliwe wieści. Powtarzano sobie, jakoby nocą ktoś chodził pomiędzy domami i pukał do okien. Ponoć była to stara kobieta, ubrana na czarno. Przystawała pod oknami. Zaglądała do wnętrza izb przez szybki. Pukała, by po chwili oczekiwania, czy ktoś z domu się odezwie, spytać:

— Śpicie?

Kiedy usłyszała odpowiedź:

— Śpieme!

Odpowiadała jakimś dziwnym głosem:

— Ta śpijcie na wieki!

I w tym domu, w niedługi czas, wszyscy domownicy umierali.

Ale rozeszła się lotem błyskawicy wieść, że na pytanie nieznajomej „Czarnej Pani” — jak ją szybko nazwano w miasteczku — odpowiedział ktoś:

— Nie śpieme! Boga chwaleme!

— To chwalcie Go na wieki! — miała odpowiedzieć dziwna nocna nieznajoma. I o dziwo! Z tego domu nikt nie umarł, ani z głodu, ani na zarazę.

W atmosferze panicznego strachu, w obliczu głodu i beznadziei, Maria Tyliszczakowa, której prawie wszyscy członkowie rodziny zmarli, porzuciła swój dom w Rynku i wraz z dwuletnią córeczką Zofią uciekła w góry. Może wybrała się na Węgry, śladem innych, w poszukiwaniu pracy i pożywienia? Może tylko uciekała przed zarazą?

Był kwietniowy słoneczny dzień. Pomodliwszy się rano, wzięła dziecko, opatulila je wełnianą chustą i wyruszyła w świat. Wyszła na Malnik, by przez Garby i dalej przez Wojkową, górami przejść na Węgry. Kiedy była już na Garbach, zobaczyła idącą kobietę, całą w czerni. Ubraną po miejsku. Czarna Pani była znacznie starsza od Marii. Miała śniadą cerę i czarne błyszczące oczy. Też pewnie uciekała z miasteczka. Kobieta w czerni wyraźnie zwolniła krok. Czekając na Tyliszczakową. Razem raźniej wędrować przez góry. Kiedy zrównały się w drodze, Maria pierwsza rzekła do nieznajomej.

— Niek będzie pochwalony Jezus Chrystus!

W odpowiedzi usłyszała tylko jakieś mruknięcie.

— Hej, ta pewnie nie umie po naszymu! — pomyślała Tyliszczakowa. — Ta może to da jaka Wengierka? ... Może jeszcze cosik zagadnoń?

— Ta dzie to idziecie dobra kobito? — odezwała się nagle nieznajoma, czarno ubrana pani.

— Ta, da dzie na WengryL.Służby szukać!...Uciekać od zarazy!... — szczerze odpowiadała Maria. — Wszyćkich ja stracię! Wszyćkie pomarli! W mieście zaraza!... Tam mie jeno śmierćka czeka! Hej! Ni ma po co wracać — mówiła ze smutkiem Tyliszczakowa, przytulając córeczkę.

— Hej! Wróćcie się nazad!... Ta wom godom, nie bójcie się!... Już nikto w mieście nie umrze na zarazę! Już zarazy ni ma! ... Wróćcie się dobra kobito! Zaraza poszła na

góry! Weźcie się za robotę w polu, ta nie widzicie co wiosna idzie? — nalegała stanowczo Czarna Pani.

— Hej! Ta tak gadacie? — Tyliszczakowa próbowała przyjrzeć się twarzy nieznajomej, ale ta przyspieszyła kroku.

— Hej! Ta jak ona idzie?... Czego tak ponad trawę?!... Nad krzakami?! — dziwiła się Maria, patrząc na wyprzedzającą ją kobietę w czerni. I nim zdążyła powstać jej w głowie jakaś myśl, nieznajoma Czarna Pani jakby rozplynęła się w powietrzu. Może zniknęła w cieniu buków? Może tylko schowała się za nimi? Trudno było Marii to szybko ocenić.

— Ta, to przecie beła... Eee!... Tfu! Zgiń! Przepadnij!... — rwały się myśli Marii Tyliszczakowej. Padł na nią strach. Mocniej przycisnęła do siebie dziecko. Zawróciła. Szła szybko, posłuszna poleceniom Czarnej Pani, szepcząc cały czas słowa modlitwy.

Kiedy otrząsnęła się już ze strachu, była prawie w Rynku, tuż przy swoim domu. Cały czas miała przed oczami obraz ginącej w cieniu buków kobiety całej w czerni, z którą tak przyjaźnie rozmawiała. W uszach zaś dźwięczały jej słowa nieznajomej o tym, że zaraza odeszła z miasteczka! Długo o rozmowie z Czarną Panią nie mówiła nikomu. Bała się. Ale o dziwo! Od tego dnia w Muszynie nikt już na zarazę nie umarł.

Mijały lata. Mała Zosia, którą matka unosiła w góry przed zarazą, stała się dorosłą kobietą. Wyszła za mąż za Franciszka Jędrzejowskiego. Cały czas pamiętała opowiadanie matki o Czarnej Pani. Po latach powtórzyła je mężowi. Razem doszli do przekonania, że jak było, tak było, ale Zofia została cudownie uratowana od zarazy. Jędrzejowscy podjęli myśl o wybudowaniu kapliczki, wiecznego wotum wdzięczności i pamięci o tamtych dniach głodu i morowego powietrza w Muszynie. Tak to w roku 1876, przy kościelnym murze, stanęła na starodawnym cokole figura św. Jana Nepomucena, zwana powszechnie kapliczką Jędrzejowskich. Potem po latach nad figurą założono blaszany daszek, by spadające z lip w czasie wiatru gałęzie jej nie niszczyły. W roku 1991, niemałym staraniem Towarzystwa Miłośników Ziemi Muszyńskiej, figura i cokół zostały gruntownie odnowione przez panią mgr Krystynę Antoniak z Pruszkowa.

W obwodzie muru kościelnego, w odległości może trzech metrów od głównego wejścia na plac przykościelny, wznosi się murowana i otynkowana kapliczka, wewnątrz której znajduje się barokowa rzeźba ludowego artysty, przedstawiająca Chrystusa przy słupie. Naturalnej wielkości postać Pana Jezusa jest przedstawiona ze związanymi z przodu założonymi rękami. Głowa nieco pochylona, z długimi włosami spływającymi na ramiona. Twarz pociągła z brodą i wąsami. Tors nagi. Od pasa w dół postać jest okryta czerwoną szatą, spod której wystają bosc stopy. Figurę otacza drewniana tralkowa balustradka (patrz fotografia na kolorowej wkładce).

Raz w roku, w Wielki Czwartek, figura przenoszona jest do kościoła i umieszczana w „starej” zakrystii, gdzie znajduje się ciemnica, w której wierni adorują Najświętszy Sakrament. W kapliczce za figurą przez szereg lat na ścianie zawieszane były przedmioty związane z Męką Pańską, które pochodziły z tęczy kościelnej. Po renowacji tęczy powróciły na swoje miejsce i można je właśnie tam oglądać.

Kapliczka nakryta jest dwuspadowym blaszanym dachem. Kiedy była wzniesiona? Trudno dziś doszukać się jakichś dokumentów. Nie znamy też nazwisk ani fundatorów, ani

budowniczych. Wydaje się jednak, że kapliczka ta stanęła w miejscu wcześniejszej, drewnianej. Jest też możliwe, że powstała w czasie budowy dzwonnicy, którą wzniesiono w latach 1800-1803 z inicjatywy ks. Bartłomieja Wolińskiego, muszyńskiego proboszcza (1791-1812). Pewne jest, że w 1936 r. kapliczka *była tak mocno zawilgocona, a nawet zagrybiona, że postanowiono ją osuszyć, a obok na miejscu śmietnika zrobiono kiosk, który ma służyć do sprzedawania dewocyjnych, ewentualnie za wynagrodzeniem kościołowi płodów ogrodu kościelnego. Roboty te kosztowały 593 zł i 30 gr, a wykonał je murarz J. Słowik z Tenczyna. Teren obok kiosku wybrukował Andrzej Śliwiński miejscowy murarz.* Wspomniany kiosk istniał jeszcze w latach pięćdziesiątych, a znajdował się w miejscu, gdzie dziś stoi parafialna gabłota ogłoszeń.



Kapliczka z figurą Chrystusa przy słupie  
— widok z zewnątrz

Opisywana kapliczka i jej nowsze dzieje związane są z „wojną o krzyże” w muszyńskiej szkole. Kiedy Wydział Oświaty w Nowym Sączu pismem z dnia 1 IX 1953 roku odmówił prawa nauczania religii w szkole tutejszemu proboszczowi, księdzu Kazimierzowi Zatorskiemu, rozpoczął się w Muszynie okres rugowania ze szkoły nie tylko nauczania religii, ale i symboli wiary, a także bezpardonowej walki ze wszystkim, co łączyło się z życiem religijnym w miasteczku.

W roku 1955 już ani ksiądz proboszcz, ani ksiądz katecheta Maksymilian Dziedzic, nie otrzymali prawa nauczania religii w szkole. Wcześniej, bo w 1953 roku, w czasie wakacji „częściowo” zginęły krzyże, które wisiały przez lata w klasach. Rodzice stanowczo upominali się o ten symbol wiary w salach, gdzie miały uczyć się dzieci.

W 1954 roku ks. katecheta, który jeszcze wówczas uczył w szkole, wraz z dziećmi (wśród których był piszący te słowa) postarał się o nowe krzyże i te zawieszono na ścianach klas. Jednak w czasie wakacji 1954 roku wszystkie krzyże ponownie zniknęły. Pozostały tylko te nieliczne, które dzieci zabrały na wakacje do domów. Kiedy wszelkie działania, podjęte przez rodziców w celu przywrócenia religii w szkole, nie dały żadnych rezultatów, zdecydowali oni, aby krzyże, których nie pozwolono zawiesić w klasach, umieścić w kapliczce obok Chrystusa przy słupie. Chrystusa Biczowanego. Miał to być symboliczny protest przeciwko szykanowaniu wszystkich, którzy domagali się uparcie religii i krzyża w szkole. Na bocznych ścianach w kapliczce zawisły krzyże, a od tego czasu często czyjaś ręka zapalała przed kapliczką świecę lub znicz. (O ks. Zatorskim czyt. w artykule Grzegorza Gołyźniaka, *Almanach Muszyny* 1998, s. 37-44).

Przyszedł „Polski Październik”, który przywrócił religię do szkół. Z kapliczki do klas przeniesiono też i krzyże. Jednak w 1958 r. wszystko powtórzyło się jakby od nowa. Krzyże ze szkolnych sal znów musiały zawisnąć na bocznych ścianach kapliczki. Tak, jak przed kilkoma laty, niektóre „gdzieś zaginęły”.

# MUSZYŃSKIE KAPLICZKI



Figura Chrystusa Biczowanego  
z kapliczki obok kościoła pw. św. Józefa



Plenerowa kaplica Matki Boskiej - Uzdrawienia Chorych  
na wzgórzu za Popradem



Kapliczka na drzewie  
przy ulicy Lipowej



Figura Matki Boskiej Różańcowej  
obok przejazdu kolejowego przy ulicy Piłsudskiego



Kapliczka między blokami przy ulicy Piłsudskiego



Kapliczka św. Józefa na słupie



Kapliczka przy ulicy Grunwaldzkiej



Wnętrze kapliczki przy ulicy Grunwaldzkiej

Fot. Ryszard Górski  
Witt Kmiotowicz  
Bożena Kruk  
Barbara Rucka  
Stanisław Zygadło

Szcześliwym trafem w czasie remontu i rozbudowy szkoły jakoś się odnalazły. A kiedy „nastąpiła Solidarność”, powróciły do klas, i te z kaplicy, i te, które w szkolnych zakamarkach doczekały lepszych czasów. Ale że do trzech razy sztuka, ponownie na parę lat (1983-89) krzyże musiały znowu znaleźć się w kapliczce. Do dziś można jeszcze spotkać w niektórych klasach poczerniały krzyż — to na pewno ten, który szukał schronienia w kapliczce przy figurze Chrystusa Biczowanego.

Nic dziwnego, że dla wielu starszych muszyńskich mieszczan kapliczka ta do dziś stanowi symbol walki komunistycznych władz z religią i krzyżem w szkole. Wielu z nich mogłoby do tej historii dołożyć własne uwagi i wspomnienia, zostawmy je jednak na razie tylko w ustnym przekazie, bo nie o grzebanie w bolesnych sprawach tu chodzi.

A skoro jesteś już na przykościelnym placu, warto obejść kościół dookoła i obejrzeć figury świętych i błogosławionych polskich, umieszczonych w niszach na zewnętrznych ścianach budowli. Jak czytamy na tablicy fundacyjnej, na południowej ścianie świątyni, figury te zostały ufundowane przez państwa Rynczaków. Pani Helena Rynczakowa pochodziła ze starego znanego w miasteczku rodu Świderskich. Zapewne intrygowały ją puste nisze, jakie budowniczy kościoła przed prawie 300 laty umieścili na zewnątrz murów. Być może zamierzali ustawić tam figury biskupów krakowskich, bo przecież miasteczko stanowiło samo „serce” dóbr krakowskiej kapituły przez ponad 400 lat. Nisze zostawały jednak puste aż do 1993 roku, do 14 sierpnia, kiedy to ks. biskup Jan Styrna poświęcił figury ufundowane przez pp. Rynczaków. Są to chyba najmłodsze muszyńskie figury, którym zapewne historia dopisze ciąg dalszy, a właściwie już to czyni, bo wszak od 1997 roku królowa Jadwiga zaliczona jest w poczet świętych, gdy tymczasem figura ma inskrypcję „Błogosławiona Królowa Jadwiga”. Podobnie rzecz ma się z kanonizowaną w czerwcu 1999 roku Kingą — Panią Sądecką.



Rzeźba Jana Niewoli

Na zewnątrz muru opasującego kościół, kilka metrów od wiekowej lipy w stronę ul. Grunwaldzkiej, znajduje się nisza, a w niej stoi drewniana ludowa rzeźba. Przedstawia ona mężczyznę trzymającego w ręce serce, z którego wylania się krzyż. Wskazujący palec drugiej ręki wyciągnięty jest ku dołowi, wskazując u stóp postaci przydeptanego węża, z dziwną, ni to ludzką, ni zwierzęcą głową. Figurę tę wykonał w 1977 r. Jan Niewola i za zgodą ks. Eugeniusza Piecha umieścił ją w pustej wnęce. Według autora figura przedstawia *Chrystusa, który wskazując na szatana, daje nam swoje serce, by walczyć ze ziemi. Dzięki sercu, miłości, można pokonać — podeptać — każde zło i szatana* — mawiał Jan.

Tu trzeba kilka słów poświęcić Janowi i Stanisławowi Niewolom. Obaj bracia byli bardzo utalentowani plastycznie. Jan już od najmłodszych lat rzeźbił w drewnie i malował muszyńskie pejzaże. Trudno powiedzieć, gdzie dziś znajdują się jego prace, które za grosze sprzedawał. Jest ich parę w muszyńskim muzeum i na pewno w kilku prywatnych domach. Również syn Jana rzeźbił w drewnie. Sporo jego figurek było na różnych wystawach. Trafiły nawet do Niemiec, do Getyngi. Stanisław z kolei malował, a jego prace także budziły podziw i uznanie. Sporo osób było nimi zainteresowanych. Los jednak dla Niewolów był okrutny. Jan zginął tragicznie w 1980 r. Również jego syn, Krzysztof, w wieku 22 lat w 1991 r. spadł z rusztowania na budowie, ponosząc śmierć na miejscu. Natomiast Stanisław żyje, ale przebywa w zamkniętym ośrodku i nie zajmuje się już malowaniem obrazków. Przetrwiała jednak figura Jana Niewoli w przykościelnym murze, przywołując o uzdolnionych braciach wspomnienie.

### **FIGURY MATKI BOSKIEJ NA BASZCIE I ZA POPRADEM**

Jak to się stało, że na obronnym kiedyś murze muszyńskiego zamku, nad jego ruinami, stanęła figura Matki Boskiej i dziś widoczna jest i z ul. Kościelnej, i z ul. Ogrodowej, i Rynku, ul. Piłsudskiego i tyłu, tyłu innych miejsc w miasteczku?

Był rok 1936. Muszyna za sprawą burmistrza Antoniego Jurczaka, dra Seweryna Mściwujewskiego i innych działaczy stała się uzdrowiskiem, do którego licznie napływali letnicy i kuracjusze. Wielu ludzi wiązało swe losy z miasteczkiem, tu przy obsłudze przyjezdnych widząc swą szansę. Ale byli i tacy, którzy wyjeżdżali z miasteczka, za wielki ocean — do Ameryki.

Tak się złożyło, że Żyd Keizinger kupił dom od katolika, który wyemigrował do Ameryki. Dom stał przy ulicy Kolejowej, w cieniu wiekowych lip. Od strony ulicy przed domem był mały ogródek, pełen kwiatów, wśród których stała figura Matki Boskiej. Była ona wotum mieszkającej tu dawniej rodziny za zdrowie i Boże błogosławieństwo. Była też prośbą o powodzenie w życiu w dalekiej Ameryce.

Gdy dom z ogrodem i figurą zmienił już właściciela, stary Keizinger bardzo szybko zauważył, że przechodzący ulicą katolicy zdejmują czapki przed figurą, nabożnie się żegnając. Żyd często stawał w oknie. Z zadowoleniem obserwował przechodniów. Odpowiadał na ukłony, choć nie były dla niego przeznaczone. Nie w smak było to katolickim mieszkańcom miasteczka, postanowiono zatem odkupić dom od Żyda. Stateczni, zacni i bogaci muszyńscy gospodarze przyszedli do Keizingera z propozycją. Bez żadnych ceremonii oświadczyli, że kupują od niego dom z ogrodem. Żyd za nic w świecie nie chciał słyszeć o transakcji. Uparcie twierdził, że kupił i dom, i ogród, i nie ma żadnego zamiaru sprzedawać nabytku. Figury również nie chciał się pozbywać, bo jak sam mówił — zupełnie mu nie przeszkadzała. Wieść szybko rozeszła się po miasteczku, a wobec stanowczej odmowy sprzedaży, szukano innego rozwiązania.

W zakładzie fryzjerskim Jędrzejewskiego w Rynku zrodził się pomysł wykradzenia figury z ogrodu Żyda. Po konsultacjach z księdzem Gaworem postanowiono posązek umieścić na Baszcie.

W pewną kwietniową noc, kiedy księżyc już zaszedł, a jedynie gwiazdy rzucały nikłą poświatę, dobrze po północy do ogrodu Keizingera wślizgnęły się dwa cienie. Po chwili

pojawiły się przy figurze, ostrożnie zdjęły z cokołu Najświętszą Panienkę, by po chwili podać ją przez płot innym ceniom, czuwającym do tej pory na ulicy. Po cichu, bez jakiegokolwiek rozmowy niesiono figurę na Basztę. Miasto spało. Tylko gdzieś za Popradem czekały psy. W pewnej chwili, jakby spod ziemi wyrósł przed chłopcami, którzy przynosili figurę, miejski stróż. Ściszym głosem zapytał, jakby był pewien, kogo spotkał w tę noc na ulicy Kolejowej:

— To wy chodaki?

— Ano... To my! — odpowiedział szeptem któryś z uczestników przedsięwzięcia, a serca wszystkim waliły jak młotem. Czyżby ktoś ich obserwował wcześniej?

— Pomogę wam! Idźcie śmiało! Droga pusta, już sprawdziłem! — szeptał stróż.

Chłopcy dotarli na Basztę. Osadzili figurę na załamku muru obronnego, gdzie wcześniej przygotowali miejsce. Zabetonowali na postumencie. Przez chwilę modlili się w ciszy. Niebo nad Wilczem poczynało blednąć, kiedy schodzili z Baszty.

Żyd zorientował się dopiero koło południa, że ludzie już nie kłaniają się przed jego domem jak dawniej. Zauważył brak figury w ogrodzie. Zły pognął na policję. Co i jak tłumaczył — nie wiadomo. Faktem jest, że policja szukała skradzionej figury. Po trzech dniach, kiedy policjant spotkał Keizingera na Rynku, wskazał na Basztę i powiedział:

— O! Widzisz, tam jest twoja figura! — I dodał: — Jak chcesz, to idź tam i weź ją sobie!

Keizinger jednak nie poszedł. Figury nie zabrał. W majowe wieczory zaczęli przy figurze na Baszcie zbierać się młodzi, chłopcy i dziewczęta. Śpiewali pieśni maryjne.



Figura Maiki Boskiej na Baszcie  
(fot. Stanisław Zygadło)

Czasem ktoś przyniósł skrzypce, akordeon, trąbkę i przygrywał śpiewającym. Tak było co roku w maju. Sławiono pieśniami Najświętszą Panienkę, proszono o łaski, o wspomnienie, o opiekę nad miastem. Z Zamkowej Góry głos rozchodził się daleko. Spływał w dolinę nad miasto. Nad Poprad. Nad Muszynkę. Słuchali śpiewu muszyniacy i przyjezdni goście. A każdy, kto usłyszał melodię musiał na chwilę przystanąć. Oddać cześć Matce Bożej, choćby tylko jedną myślą.

Tak powstała tradycja pielęgnowana do dziś — granie w majowe wieczory (niegdyś też poranki, w latach powojennych) maryjnych pieśni przy figurze Najświętszej Pani na Baszcie. Tradycja, która zachwyca przyjezdnych gości, a dumą napawa miejscowych, że tyle już lat, co roku w maju..., że zawsze znajdzie się ktoś, kto zagra „majówkę na



Baszcie”. (Zobacz: „Jak majówki zaczęto grać na Baszcie” — *Harnik* nr 1 z 1990 r.)

Wróćmy jednak do historii figury. W czasie wojny, w 1944 roku, w miasteczku, w miejscowej szkole w Rynku, przebywała jakiś czas spora grupa młodzieży z Hitlerjugend. Młodzież zachowywała się butnie, a opuszczając Muszynę zniszczyła figurę Matki Boskiej na Baszcie. Parafianie ubolewali nad tym faktem, niemającym więc staraniem odnowili figurę i już w ostatnią niedzielę października w 1945 roku w uroczystej procesji, umieszczono na zamkowym murze kamienną statwę Matki Bożej Różańcowej.

Ksiądz Kazimierz Zatorski, ówczesny proboszcz, po wielu latach, w roku 1995, przypominał z nutą nostalgii to wydarzenie: *dokąd będzie na Baszcie stała Figura Matki Bożej, to i Muszyna będzie znaną i cenioną miejscowością.*

W latach pięćdziesiątych pracownicy tartaku założyli światło elektryczne, tak by figura widoczna była i w nocy. Inna sprawa, że mieli później przez tę społeczną pracę nieprzyjemności.

Figurę na Baszcie szczególnie często niszczone i profanowano, jak żadną inną w miasteczku! W okresie powojennym trzykrotnie dokonywano na niej aktów wandalizmu. Sprawcy zawsze okazywali się nieznani. Ostatniego takiego bezmyślnego czynu dopuszczono się w 1980 r. Wydawało się wtedy, że figury nie da się odnowić. Wobec takiego stanu rzeczy postanowiono zakupić nową statwę Najświętszej Pani. Fundatorami obecnej figury na Baszcie są państwo Jan i Halina Goralowie. A figura, którą w kwietniowy wieczór 1936 roku wykradzono z ogrodu Żyda Keizingera, była w posiadaniu państwa Goralów aż do roku 1996, kiedy to powstał pomysł odrestaurowania jej i umieszczenia w starej kaplicy cmentarnej.

Renowacji dokonał p. Zbigniew Gruczelak, a w drugi dzień Zielonych Świąt ponownie poświęcono starą figurę i uroczyste przeniesiono ją do dawnej cmentarnej kaplicy, wystawionej z fundacji rodziny Krynickich z końcem XIX w. Tam też można oglądać ją dzisiaj i pomodlić w zadumie do Matki Bożej — „Pani na Muszynie”.

Za Popradem, prawie naprzeciw Baszty, dziś w lesie, ponad aleją Zdrojową, na czworobocznej kamiennej kolumnie, otoczona metalowym ogrodzeniem, stoi kamienna statua Najświętszej Marii Panny. Otoczenie figury jest tak zagospodarowane, że przypomina kaplicę na wolnym powietrzu (patrz fot. na kolorowej wkładce).

Figura została wzniesiona w roku 1929 lub 1930 z fundacji Jana i Anny Zajegów, jako wotum za odzyskane zdrowie. Inskrypcja na tablicy jest wielce wymowna: *Pójdźcie do mnie wszyscy chorzy — a ja was ulecę. Pójdźcie do mnie wszyscy smutni i strapieni — a ja was pocieszę. Bo jestem Matką waszą.*

W latach trzydziestych, kiedy za Popradem koncentrowało się życie wczasowe miasteczka, figura na stoku górowała nad plażą, pawilonem oraz muszlą koncertową. Była widoczna z każdego miejsca. Tu wtedy był park zdrojowy. Dziś stok zarósł drzewami i krzewami, ale do figury łatwo trafić. Wystarczy z mostu na Popradzie, mijając ulicę dra S. Mściwujewskiego, pójść w lewo w górę, alejką pomiędzy drzewami. Szybko dotrzemy do plenerowej kaplicy, którą opiekuje się dziś p. Koper. W jego posiadaniu znajduje się też „Księga Łask”, założona jeszcze w latach siedemdziesiątych, w której zapisywane są przypadki doznania łask od Matki Bożej przy figurze. Opisanych jest tu ponad 80 przypadków.

W 1971 roku zaszła konieczność dokonania remontu muru oporowego, bowiem zachodziła

obawa, że góra osunie się, niszcząc nie tylko figurę, ale i całą kaplicę.

W każdą ostatnią niedzielę maja o zmierzchu odbywa się tu uroczyste nabożeństwo, które gromadzi muszynian oraz kuracjuszy i wczasowiczów. Jeszcze z początkiem lat sześćdziesiątych przychodzili z kościoła na to miejsce procesje maryjne. Stary drewniany most trzeszczał pod stopami ludzi podążających do figury.

Wiele osób, z którymi się rozmawia, mówi o figurze Matki Boskiej za Popradem po prostu „Matka Boska — Uzdrawienie Chorych”. Niejedna osoba, modląc się u stóp Najświętszej Pani, wyprosiła dla siebie, czy swych bliskich, łaskę powrotu do zdrowia i sił. Może nie wszystkim jest znana sprawa pana Adama Homy. Za zezwoleniem samego zainteresowanego, skrótowo ją tu przytoczę.

Późną jesienią 1993 roku pan Adam Homa, pracując przy budowie swojego domu, nieszczęśliwie spadł z poddasza aż do piwnicy. Wypadek okazał się tragiczny, obrażenia spowodowane upadkiem były tak znaczne, że lekarze nie dawali rannemu wielkich szans na przeżycie. Także w krakowskiej klinice, gdzie przewieziono p. Adama, nie robiono zbyt wielu nadziei. Jako że ranny wiele czasu poświęcił wcześniej zapoprádzkiej figurze i jej otoczeniu, wykonując prace porządkowe i konserwatorskie, po wypadku jego córki, uczennice muzyńskiego LO, z wiarą i ufnością poczęły się tam modlić. Czyniły to w każdą wolną chwilę, nie zaniedbując przy tym ani nauki w szkole, ani innych obowiązków. Czas płynął, stan zdrowia p. Adama zaczął się poprawiać. Tymczasem córki i żona bezustannie z nadzieją modliły się przed figurą za Popradem. Kiedy pan Homa wrócił do domu, dla nikogo z rodziny nie było tajemnicą, że powrót do sił zawdzięcza orędownictwu Matki Boskiej - Uzdrawienia Chorych.

Przypadków uzyskania łaski zdrowia przez chorych, polecanych Najświętszej Marii Pannie, było o wiele więcej. Nie wszyscy może potrafią je jednak skojarzyć z modlitwą u stóp figury w parku zdrojowym.

### KAPLICZKA NA DRZEWIE

Przy ul. Lipowej, wiodącej w stronę Żegiestowa, na starej lipie znajduje się mała szafkowa kapliczka. Jest to drewniana świątynka z wieżyczką. Oszklona tak, że wewnątrz widać obraz Serca Pana Jezusa. Kapliczkę tę sprawiono po roku 1951, jako wierną kopię kapliczki, która umieszczona była wcześniej na wyłamanej przez wiatr starej lipie. Poniżej kapliczki umocowana jest metalowa latarnia, również oszklona, w której ktoś czasami zapala świecę (patrz fot. na kolorowej wkładce).

W swoich wspomnieniach były burmistrz Muszyny, pan Stanisław Porth, pisze: *Nie mogę pominąć, że jeszcze nim burmistrzem został Jan Pieróg [tzn. przed rokiem 1894*

*— przypisek W.K.] jeden z żandarmów muzyńskich zakochał się w jednej z mieszczanek, z którą bardzo często chodził wieczorami na Mikowę na spacer. Młodzi mieli się ku sobie, jednak kiedy on poprosił rodziców o jej rękę, spotkał się z kategoryczną odmową. No bo to nie honor dla Polaka by córkę wydawał za mąż za żandarma okupacyjnego kraju. Wobec takiego stanu rzeczy, młodzi nie widząc poza sobą świata, wybrali się na swój ostatni spacer na Mikowę. Niedaleko od drogi on ją zastrzelił, a później sam strzelił do siebie... Znaleziono ich dopiero na trzeci dzień. Odbył się skromny pogrzeb, jako że zginęli samobójczą śmiercią. Do dziś grób*

owego żandarma można znaleźć łatwo na muszyńskim cmentarzu. Nad ziemną mogiłą wznosi się na kamiennej podstawie metalowy krzyż, na którym u spodu widnieje hełm żandarma i wystająca spod niego szabla. Miejsce zaś na Mikowej, gdzie tragiczna miłość zabrała dwie ofiary, ktoś uwiecznił zasadzając obok siebie dwie lipy. *Łatwo je dzisiaj rozpoznać bo rosną po prawej stronie drogi Muszyna - Żęgiestów* — pisze S. Porth.

Istnieje jeszcze druga wersja owej tragedii. Pewien muszyński żandarm zapoznał jedną z dziewcząt z pobliskiej słowackiej Legnawy. Często spotykali się w połowie drogi między Muszyną a Legnąwą. Pewnego wiosennego wieczoru w 1888 roku on chwalił się przed nią nowo fasowanym pistoletem. Demonstrował jej swe umiejętności w posługiwaniu się bronią. Jak to bywa w takich wypadkach, pistolet zniecka wypalił. Kula trafiła dziewczynę w głowę. Żandarm nakrył jej ciało gałęziami, które odłamał z pobliskich lip, a następnie sam wszedł pod owe gałęzie i strzelił sobie w głowę. Jak było naprawdę? Kto tam dziś po ponad stu latach pamięta. Jedno jest niezaprzeczalne: wnet po tragedii na słupie zjawiła się kapliczka z obrazem Serca Jezusowego, by przez to Serce błagać o Miłosierdzie Boże dla dawnych zakochanych, którzy w tym miejscu pozostali na zawsze. *Mówiono, że ck żandarmi swemu koledze przed kapliczką często zapalają świece*. Kiedy słup, na którym była umocowana kapliczka zbutwiał i którejś jesieni spadł pod náporem wiatru, robotnicy, chodzący tędy do pracy przy odbudowie tunelu w roku 1940, powiesili kapliczkę na jednym z drzew.

Powiadają przypadkowi przechodnie, że w tamtej okolicy w majowe księżycowe noce można zobaczyć pod lipą dwa cienie, które przytulone do siebie siedzą dopóki nie zajdzie księżyc, a kiedy mgła znad Czarnego Wiru przesunie się w stronę Lipowego Lasu, znikają w jej smugach.

### KAPLICZKI I FIGURY PRZY UL. PIŁSUDSKIEGO

Idąc od strony Rynku, tuż za przejazdem kolejowym, obok kiosku, spotykamy kamienną figurę Matki Boskiej Różańcowej. Jest to płaskorzeźba umieszczona na postumencie, w jej zwieńczeniu usytuowano posązek św. Józefa z Dzieciątkiem. Figura ta jest wierną kopią kamiennej kapliczki z roku 1770. Wykonał ją z fundacji parafian w roku 1977 pan Żarnecki, rzeźbiarz pochodzący z Muszyny, a zamieszkały w Krakowie. Poprzednia figura, wyrzeźbiona również w piaskowcu, została zniszczona przez czynniki atmosferyczne (patrz fot. na kolorowej wkładce).

Przeszukując stare muszyńskie legendy, podania i przypowieści, spotkałem też opowiadanie, jakoby ostatni starosta Muszyny, nim wyprowadził się z miasta, postawił świętą figurę na pamiątkę. Rok wzniesienia figury (1770) odpowiadałby czasom ostatniego starosty muszyńskiego, Idziego Fihausera. Być może w podaniu tym jest coś z prawdy i rzeczywiście figura ta została ufundowana przez starostę tuż przed kasatą dóbr biskupich i okupacją austro-węgierską Muszyny. Tym bardziej, że p. Anna Głowacka z domu Fihauser zachowała sporo rodowych dokumentów, wśród których jest wzmianka o fundowanej przez rodzinę Fihauserów kapliczce. Niestety, trudno się doszukać zapisku na temat miejsca, gdzie ją postawiono.

Na ul. Piłsudskiego — dawniej Kolejowej — stoją jeszcze dwa ciekawe i charakterystyczne obiekty ludowej pobożności i głębokiej wiary muszyniaków. Jednym z nich jest kapliczka wzniesiona w pierwszej połowie XIX wieku na dawnej parceli nr 85, własności p. Kosiby. Fundatorzy

i budowniczości tej kapliczki są nieznanymi. Jest ona murowana, otynkowana, kryta gontem, kwadratowa, o sklepieniu kolebkowym. Od frontu otwarta, półkoliście zwieńczona szeroką arkadą. Zamknięcie stanowi furka z żerdzi. Na namiotowym dachu umieszczono czworoboczną latarnię, zakończoną gontową kopułką. Wewnątrz znajduje się mały ołtarzyk z figurą Madonny z Dzieciątkiem, a na ścianach dwa obrazy w ramach. Obok kapliczki w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy kształtował się układ przestrzenny dzisiejszej ul. Piłsudskiego, posadzono dwie lipy. Lipy te zostały wycięte w czasie budowy osiedla mieszkaniowego. Podobno zagrażały kapliczce (patrz fot. na kolorowej wkładce).

Drugim obiektem jest figura Matki Bożej z Dzieciątkiem, usytuowana na parceli nr 106, tuż obok budynku. Figura ta wzniesiona została prawdopodobnie w 1900 r. W tych to latach zbudowano również dom. Wielu mieszczan tuż przy nowo wznoszonych budynkach, na własnych parcelach, fundowało figury bądź kapliczki. Przeważnie w ogrodach przed domami umieszczano figury Matki Boskiej. Zresztą zauważamy ten fakt i dziś, nie tylko przy ul. Piłsudskiego.

Kamienna figura na parceli nr 106 wznosi się na czworobocznym postumencie, na którym zamocowano metalową latarnię. Całość jest zadaszona blaszanym charakterystycznym daszkiem. Niedawno odrestaurowana figura zapewne też ma swoją ciekawą historię, ale o tym może napiszemy przy innych okazjach, po zgromadzeniu pełniejszych danych.

### KAPLICZKA PRZY UL. GRUNWALDZKIEJ 118

Mniej więcej dwa kilometry od kościoła w stronę Powroźnika, kilkadziesiąt metrów powyżej źródła wody mineralnej „Grunwald”, tuż obok drogi, w znacznym obniżeniu terenu stoi biała murowana kapliczka. Parcela należy do PFZ i ma numer 118. Kapliczka jest otynkowana, kryta dachówką, prostokątna z dachem dwuspadowym (patrz fot. na kolorowej wkładce). Wejście zamyka dziś krata z metalowych prętów, kiedyś jednak były tu drzwi z okienkami. Kapliczkę tę wybudował muszyński mieszczanin Łukasz Romaniak w 1817 lub 1819 r. Z dokumentów, jakie zachowały się w rodzinnym archiwum wynika, że po wielkiej powodzi w 1813 roku, Łukaszowi Romaniakowi późną jesienią spalił się dom i całe gospodarstwo. Został wraz z liczną rodziną tylko w tym, co miał na sobie. Dobrzy ludzie pomogli i przygarnęli pogorzalców na zimę, ale



Figura Matki Boskiej na parceli nr 106 — stan przed remontem (fot. Barbara Rucka)

zbliżał się dzień św. Marcina i trzeba było muszyńskiemu proboszczowi uiścić podatki: meszny, osepowy, oraz jeszcze inne świadczenia. Romaniak „suplikował” zatem do Jegomościa o umorzenie podatków, jako że nie miał przecie z czego zapłacić. W owych czasach muszyńscy mieszczanie dość często „suplikowali” o ulgi w podatkach, tak więc prośba Łukasza Romaniaka była czymś naturalnym. Ciekawa jednak wydaje się być argumentacja, no i odpowiedź księdza. Czytamy w dokumencie: ... *co mi powódź w lecie nie zrujnowała, to mi się na jesień do cna spaliło żywem ogniem, a me cudem ze życiem ušli z ogniowych terminów...*

Proboszcz przychyła się do prośby, daruje na dwa lata podatki, ale stawia warunek. *Wystawisz kapliczkę!* Wskazuje miejsce. Właśnie to. Szeroki kamieniec z lekka porośnięty łożyną, przez którego środek płynęła Muszynka, a obok niej droga wiodła na Powroźnik i Tylicz. Po prawej stronie gęsty jodłowy las schodził z góry aż na samo dno doliny. Tu ponoć w marcu 1769 roku doszło do potyczki konfederatów barskich z rosyjskimi kozakami. Oddział około 20-30 konfederatów pod wodzą marszałka Bierzyńskiego udawał się ze swojego obozu w Muszynie do Lubowli i tu został zaskoczony przez kozaków w sile około 80 ludzi. Okazało się, że i kozacy byli zaskoczeni tym spotkaniem, gdyż informatorzy nie donosili o obecności konfederatów tak blisko miasteczka. Wywiązała się potyczka, w której zginęło 8 konfederatów i 2 kozaków. Według starej tradycji zostali oni pogrzebani po zachodzie słońca w miejscu bitwy. Stąd też dawni mieszczanie opisywaną kapliczkę zwali „samarytanką”. Nazwa ta dziś już zupełnie zanikła i zatarła się w pamięci.

Kapliczką do 1939 roku opiekowało się Katolickie Stowarzyszenie Mężów Diecezji Tarnowskiej, jej kuratorami (opiekunami) byli zaś Jędrzej Kmietowicz i Michał Kałucki. Wiosną 1939 roku udało się ze składek i dobrowolnych ofiar przeprowadzić kapitalny remont kapliczki. Przez całą wojnę i jeszcze do połowy lat pięćdziesiątych znajdował się w niej ołtarzyk z obrazem Matki Boskiej Miłosiernej. Swego czasu był w kapliczce obraz św. Józefa, był też i obraz św. Rodziny, i figurka Matki Boskiej.

Kiedy w roku 1992 z inicjatywy Towarzystwa Miłośników Ziemi Muszyńskiej, a szczególnie p. Adama Mazura, odnowiono kapliczkę, piszący te słowa wykonał prostą ludową figurę św. Józefa w lipowym drewnie. Figura ta miała około 100 cm wysokości. Przedstawiała mężczyznę z brodą i wąsami, który w prawej ręce trzymał lilię, a w lewej piłę. Plecy okrywał mu płaszcz sięgający ziemi, którego poły spływały przez ramiona do przodu. Rzeźba była konserwowana kolorowymi bejcami oraz woskowana. Nigdy nie trafiła do kapliczki, do której ją zamówiono, zaginęła w dziwnych okolicznościach, których nikt nie potrafi wyjaśnić. Zachował się jedynie szkic tej figurki.

Na długo jeszcze przed I wojną światową mieszkańcy Podjastrzębika, którzy często przechodzili koło tej kapliczki twierdzili, że w jej okolicach straszy! Sam Jan Piróg (Pieróg) — dawny burmistrz Muszyny nie mała najadł się strachu w okolicach „samarytanki”. Odwoził do Krynicy księdza, który był gościem na muszyńskim odpuszcie. Kiedy wracał do domu, było już po północy. Konie szły jednostajnie, a burmistrz drzemał trzymając lejce, kołysząc się na wozie. Nagle konie przystały i niespokojnie zaczęły rzeć. Piróg zaciął batem. Konie stanęły dęba. Za nic nie chciały ruszyć naprzód. Nie pomogło szarpanie lejcami i strzelanie z bata. Burmistrz zszedł z wozu, by za uzdy poprowadzić konie choćby kilka kroków. W tym

momencie zauważył, że coś białego bezszelestnie od kapliczki popłynęło w stronę Muszynki i zniknęło gdzieś w wiklinach. Na burmistrza padł strach. Wskoczył co prędzej na wóz, a konie same pognały w stronę miasta. Podobno tak pędziły, że mało co na zakręcie koło kościoła nie wyrzuciły wozu, a w Rynku ledwie, ledwie zmieściły się w bramie domu.

Według mniemania starych muszyniaków straszły dusze osób, które nagle zginęły. Widywano tu podobno mężczyzn bez głowy idących w stronę miasta. Jeźdźca na białym koniu, który jak nagle się pojawiał, tak i nagle znikał w ciemnościach. Widywano też białe postacie unoszące się nieco nad ziemią. Słyszano brzęki łańcuchów, turkot wozu na kamienistej drodze itp. Również autor niniejszego tekstu z końcem lat sześćdziesiątych był straszony w bezpośrednim sąsiedztwie owej kapliczki.

A oto relacja. Był marzec roku 1968. Śnieg za sprawą wiatru halnego zszedł już w końcu lutego. Było szaro. Jedyne płaty śniegu leżały jeszcze w cieniu, w zagłębieniach, tam gdzie w styczniu było go najwięcej, a teraz nie dotarły jeszcze promienie marcowego słońca. Noce bywały ciemne, mgliste lub z piętmem odchodzącej zimy — przymrozkiem. Było już kilkanaście minut po północy. Świecił księżyc. Za kilka dni miała być ostatnia zimowa pełnia. Podświetlone przez promienie księżyca chmury układały się w nienaturalne kształty. Szum wiatru gdzieś w górze stawał się mocniejszy, bardziej przejmujący. Światła w domach były wygaszone. Zakościół spał. Na drodze ni żywego ducha. Żadnych spóźnionych samochodów, ani milicji, ani karetki pogotowia. Nie! Gdyby nie to, że tu i ówdzie unosił się dym z komina, można powiedzieć — wyludniona okolica. Musiałem, wracając do domu, przechodzić koło kapliczki, a że w dzieciństwie, i później zresztą też, nasłuchiwałem się przeróżnych opowiadań o strachach, duchach, boginkach, strzygoniach, smętkach i wielu, wielu innych muszyńskich straszylach, jakie się pojawiały nocą w tych okolicach, więc teraz wszystkie one odżywały w mej pamięci. Kiedy tylko wyszedłem zza zakrętu, w świetle księżyca zobaczyłem pod brzegiem białe kontury kapliczki, a do moich uszu doleciał płacz dziecka. Zwolniłem nieco, nasłuchując uważnie... Tak!... To nie było przesłyszenie! Podchodziłem do kapliczki, a dziecko cały czas płakało. Stałem na drodze, na wprost kapliczki. Nasłuchiwałem. Płacz był coraz wyraźniejszy. Zza chmur wyszedł księżyc i oświetlił kapliczkę oraz brzeg. To, co zobaczyłem, przeszło moje wyobrażenia. Zmroziło mi krew w żyłach. W zimnym świetle księżyca widziałem na szerniałej ziemi becik, a w nim dziecko — niemowlę! Tak!... Ktoś podrzucił pod kapliczką dziecko! Dziecku było zimno i dlatego tak żałośnie płakało.

— Co za wyrodna matka porzuciła dziecko?! — przemknęło mi przez myśl. — No, ale co ja zrobię z tym dzieckiem? Trzeba je wziąć do domu, a rano zgłosić na milicję!

Płacz dziecka na chwilę ustał. Zbiegłem po nasypie na dół, do fosy. Nagle lęk sparaliżował mnie całkowicie! Strach ma wielkie oczy! Spod nóg wyskoczyły mi dwa duże, białobure koty. Siedziały sobie na jakimś papierze! Może była to gazeta, może stara torba papierowa, a może worek po cementcie. W nikłym świetle księżyca brałem ten papier i siedzące na nim koty za becik z dzieckiem. Miauczenie kotów do złudzenia przypominało płacz dziecka. Tak dałem się nabrać! Cóż... w nocy wszystko nabiera innych wymiarów i kształtów. Wyobrażenia podsuwa przeróżne obrazy, tym bardziej, gdy przygoda ma miejsce koło kapliczki, o której tyłu

opowiadało przeróżne legendy, gdzie każdego coś straszyciło.

### KAPLICZKA ŚW. JÓZEFA NA SŁUPIE

Wjeżdżając do Muszyny od strony Powroźnika, niedaleko od granicy miasta, przy tak zwanej „Starej Drodze”, mijamy stojącą na drewnianym słupie prostą, nakrytą półokrągłym daszkiem z blachy, małą kapliczkę z białoczarnym obrazem św. Józefa — patrona muszyńskiej parafii. Zimą śpi zasypana śniegiem lub oszroniona, wiosną i latem chowa się w zieleni brzoź i czeremchy, późnym latem i jesienią zdobią ją wysokie żółte kwiaty. W listopadzie w zeschniętych badyłach gwizdzą tu wiatr, jakby ktoś płakał i zawodził (patrz fot. na kolorowej wkładce).

Legenda mówi, że kapliczkę tę wystawiła przed laty (ponoć za ostatniego starosty na Muszynie) kobieta, której mąż z nienawiści i dla rodowej zemsty zabił sąsiada. Sprawa poszła o łąkę, a może raczej o trawę. Na owej łące, pod rozłożystym starym bukiem, było źródło smacznej wody. Chodzili doń ludzie, chodził i sąsiad na skrót, wydeptując ścieżkę przez środek łąki. Jej właściciel awanturował się z sąsiadami. Zakazywał brać wodę ze źródła. Wszystko na nic! Aż w którąś niedzielę, po niesporach, zaczął się przy źródle i czekał na sąsiada. Ten zjawił się z dwoma drewnianymi wiadrami, jakimi się wtedy posługiwano. Wywiązała się sprzeczka. Właściciel łąki, podparty i wcześniej podbuntowany przez znajomków, chwycił za wiadro i uderzył nim sąsiada w głowę. Śmiertelnie. Nim sąsiad zdążył wyzionąć ducha, podobno jeszcze powiedział: *żebyś nigdy trawy z tej łąki nie zebrał!*

Jak w takich przypadkach bywa, zabójca trafił do kryminału. Pleban miał temat do kazań na kilka niedziel, a to o piątym przykazaniu, a to o złości i nienawiści, a to znów wynagrodzeniu krzywd. Żona właściciela sprzedała nieszczęsną łąkę, razem z rozłożystym bukiem i źródłem, a za uzyskane pieniądze ufundowała kapliczkę, by ubłagać patrona parafii i zarazem patrona mężów o wstawiennictwo za swym małżonkiem u Boga. Kupcem owej „Łąki w Leszczynach” był — wedle zapisu w *Księdze aktów miasteczka Muszyny* — muszyński proboszcz ks. Marcin Kmiotowicz. Łąka znajdowała się w bezpośrednim sąsiedztwie Roli Żydowskiej, której ów pleban był właścicielem, a której część sprzedał swemu bratu Michałowi, po sprowadzeniu tegoż ze Starego Sącza do Muszyny. W ten sposób łąka znalazła się w posiadaniu rodu Kmiotowiczów od połowy XVIII wieku. Ciekawe, że do dziś dnia z tej łąki nie da się zebrać siana, by go deszcz nie polał. Czyżby sprawdzała się klątwa? Od 1984 roku trawy się już nie kosi. Powoli łąka zarasta krzakami, być może już niedługo, w dwudziestym pierwszym stuleciu, nikt nie będzie wiedział, że kiedyś istniała.

Niniejszy tekst, jak wspominałem na wstępie, obejmuje tylko część kapliczek i figur przydrożnych w Muszynie, nie mówiąc już o tych znajdujących się poza obrębem miasta, w Powroźniku, Żegiestowie, a także na halach, przy szlakach turystycznych górskich ścieżkach. Temat więc pozostaje otwarty i oczekuje na kontynuację.